

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona -- 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " -- 40 "
 $\frac{1}{4}$ " -- 20 "
 $\frac{1}{8}$ " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Postęp.

Pisząc o pogrzebie ś. p. Tadeusza Wróblewskiego „Kurjer Wileński” wyraził się, że jest to pogrzeb historyczny, gdyż może po raz *ostatni* zebrał się w Wilnie dla oddania ostatniej posługi zmarłemu tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich narodowości naszego kraju.

Myśmy na odwrót sądzili, że pogrzeb ów zasługuje na nazwę historycznego z powodów wprost przeciwnych, a mianowicie dlatego, że bodaj po raz *pierwszy* zgromadził u nas tłumy publiczności bez różnicy narodowości.

Rozwijając dalej tę myśl twierdziliśmy, że ideologia krajowa, której zmarły był gorącym wyznawcą i wyobrazicielem bynajmniej z jego śmiercią nie wygaśnie, lecz przeciwnie będzie zyskiwała coraz liczniejszy zastęp zwolenników w miarę tego, jak wybujałe nacjonalizmy doprowadzą życie do absurdu i zaczną wywoływać w umysłach ogółu naturalną reakcję i pragnienie znalezienia jakiegoś wyjścia z rozpaczliwej sytuacji.

Rzeczywistość dowiodła, że nasz optymizm nie był przesadny i nieuzasadniony. Zorganizowana w rocznicę zgonu ś. p. Wróblewskiego akademja świetnie się udała, mimo że miała charakter wybitnie „krajowy”, i dała nawet impuls do dalszych zapoczątkowań w tymże kierunku. Koło czytelników i sympatyków „Przeglądu Wileńskiego” znacznie się rozszerzyło, a poglądy nasze, jeszcze przed paru laty wyszydzane i lekceważone, docierają obecnie do tych sfer nawet, które dotąd w ideologii krajowej upatrywały jedynie przeżytek z czasów niezależnego W. Ks. Litewskiego.

Ten sam „Kurjer Wileński”, który po śmierci ś. p. Wróblewskiego pisał w tonie pobłażliwej wyrozumiałości, że zmarły przeżył swą epokę o kilkaset lat, dziś stwierdza w artykule wstępnym, że „w ide-

ałach politycznych myśli krajowej jest szeroki rozmach, jest głębia i wczucie się w rytm procesów dziejowych”. Cały artykuł p. t. „Krajowcy” (Nr. 280 z dn. 3 grudnia) jest bezstronną i życzliwą oceną tego kierunku, któremu nasze pismo hołduje od chwili swego powstania i którego — jak dotąd — było jedynym na naszym gruncie wyrazem.

Może nie we wszystkich szczegółach interpretacja przez „Kurjer Wileński” kierunku krajowego jest wierna i ścisła, ale w ogólnych zarysach niewątpliwie rzecz trafnie ujmuje. Słuszną też „Kurjer Wileński” czyni uwagę, że „pod wpływem zalewu naszego kraju przez obcy nam psychicznie element galicyjski i kongresowiacki oraz wypychanie miejscowych ludzi na stanowiska do Polski etnograficznej, pod wpływem osadnictwa wojskowego, bezładu, który wnosi nie umiejąca wczuć się w potrzeby ziem naszych polityka administracyjna, oraz pod wpływem przewrotnego szowinizmu niezdarnych władz szkolnych — coraz bardziej wśród miejscowej ludności, nawet poczuwającej się do narodowości polskiej, zaczyna budzić się świadomość pewnych odrębnych właściwości i interesów mieszkańców ziem Litwy historycznej. A to jednocześnie stwarza sprzyjające warunki dla wzrostu w niedalekiej przyszłości popularności ideologii krajowej”... Najzupełniej podzielamy to przekonanie autora i cieszy nas niezmiernie, że dotychczasowi przeciwnicy zaczynają nam przyznawać rację.

Stwierdzając jednakże pożądaną zwrot w zapartywaniach demokratów wileńskich na ideologję krajową, nie chcemy utrzymywać przez to, że „Kurjer Wileński” całkowicie się nawrócił na wiarę „krajową”. Jedna jaskółka wiosny jeszcze nie czyni. Obok wspomnianego artykułu na szpaltach tegoż „Kurjera Wil.” można spotkać raz po raz wzmianki i uwagi, którym śmiało mogłoby pozazdrościć imperjalistyczne „Słowo”. Dotyczą one przedewszystkiem Litwy niepodległej,

której istnienia „Kurjer Wil.” nie może strawić i którą stale traktuje z przekąsem i nieukrywaną niechęcią, co się przebija nawet w mocno niedemokratycznym sposobie wyrażania się w rodzaju: „księżę nadniemeńskie państewko”.

Ton ten, przypominający w zupełności styl hakatystów niemieckich, gdy wspominają o nadwiślańskim państwie sezonowym, zdradza wyraźnie wrogie intencje dziennika w stosunku do państwowotwórczych wysiłków narodu litewskiego, co nie daje się w żaden sposób pogodzić z ideologią krajową, wysuwającą na plan pierwszy samodzielność wszystkich sił miejscowych. Stosunek ujemny do polityki nacjonalistycznej rządu litewskiego lub antypolskich wystąpień w sejmie kowieńskim nie ma nic wspólnego z negatywnym stosunkiem do samego państwa litewskiego. Nie brak przecie w Polsce patriotów, których żaden z dotychczasowych rządów polskich nie zadowolili i którzy ostro krytykują centralizm i nacjonalizm, cechujące dotąd politykę polską, a których jednakże nikt nie posądzi o zwalczanie a chociażby nawet kwestjonowanie idei państwa polskiego.

Tak samo najsurowsze nawet potępienie metod polityki litewskiej, ekscesów szowinistów kowieńskich czy zakusów domorosłych faszystów olickich nie koniecznie musi pociągać za sobą kampanję przeciwko zasadzie niepodległej państwowości litewskiej. A niestety te dwa odrębne stanowiska nie są wcale rozgraniczone w wystąpieniach publicystycznych „Kurjera Wileńskiego”, w tym wypadku idącego w ślady „Słowa”, które przecie republikę litewską nazywa okupacją kowieńską, i niedwuznacznie zapowiada odebranie „skradzionych” ziem, mając na myśli Kowieńszczyznę i Mińszczyznę.

„Kurjer Wileński” zapewne przypuszcza, że można być szczerym krajowcem a jednocześnie pragnąć upadku państwowości litewskiej w tej myśli, że tą drogą nastąpi prędzej i łatwiej scalenie rozdartych części b. W. Ks. Litewskiego. Jeżeli tak, to jest w grubym błędzie, bo program krajowy stanowi syntezę dążeń niepodległościowych poszczególnych części składowych W. Ks. Litewskiego, a nie koncepcję oderwaną, opartą na gruncie negacji realnych sił społeczno-politycznych. Rozszerzać i wzmacniać założone już fundamenty, a nie burzyć je nakazuje ideologia krajowa, wyprowadzająca swój rodowód w prostej linii od W. Ks. Witolda.

Nie możemy oczywiście wymagać od „Kurjera Wil.” tak daleko idącej konsekwencji i zgłębienia należytego istoty „krajowości”. Może przyjdzie z czasem kolej i na to. Na razie bądźmy zadowoleni z niewątpliwego, bądź co bądź, postępu w zapatrywaniach redakcji na zapoznawany dotąd kierunek myśli politycznej.

„Białoruskoja Autokefalnaja Cerkwa”.

Nie tak dawno, bo jeszcze w r. 1917 znany działacz białoruski Waclaw Łastowski określał siebie w Wilnie jako *niepraktykującego katolika*. Uważny jednak czytelnik zajmującego skądinąd perjuryka kowieńskiego „Krywicz” z łatwością dostrzeże, że Łastowski odbył przez ten czas znaczną ewolucję i to w stronę od chrześcijaństwa historycznego. Ponieważ nie przestaje być on jedną z czołowych postaci we współczesnym ruchu białoruskim, budzą pewną ciekawość religijne jego przekonania. Dał im wyraz Łastowski w Nr. 9 z r. 1925 „Krywicza”, zabierając głos przy ocenie (zgasłego niedawno) dwutygodnika „Prawasłaunaj Białarus” w Warszawie. Właśnie pisał wtedy, co następuje:

„To jest pierwsze krywickie (białoruskie) czasopismo, jakie obsługuje wyznaniowe potrzeby prawosławnych Białorusinów w mowie białoruskiej. Tylko prawosławie warszawskie przeprężono teraz z rosyjskiego do polskiego woza państwowego i, podobnie jak katolicyzm polski, duchowieństwo prawosławne w Polsce ma za zadanie powściągać włościanina białoruskiego, by nie brykał w jarzmie polskim. Prawda tej tendencji jeszcze nie widać w „Prawasłaunym Białarusie”, lecz zato uderza w oczy jego arcylojalność względem władzy polskiej. Nieprzyjemne też robi wrażenie na ostatniej stronie okładki reklamowanie literatury religijnej w mowie rosyjskiej. Tak wychodzi, że przy pomocy czasopisma białoruskiego pcha się do ręki Białorusina modlitwy moskiewskie.

„Wydawanie przez obcych czasopism wyznaniowych w języku białoruskim naprowadza myśl na poważną kwestję: czy naogół Białorusinom w sprawach religijnych potrzebną jest międzynarodówka rzymska lub rosyjska. Przeszłość nas uczy, że tak Rzym, jak i Carogród i Moskwa handlowali Białorusinami i dotychczas handlują. Więc czy potrzeba nam wobec tego, by nasze duchowieństwo, oprócz pilnowania swych spraw cerkiewnych, zajęte było wystugiowaniem się interesom Rzymu lub Moskwy? Jasna na to odpowiedź: nam tego nie trzeba. Niech służą cudzym interesom ci z Białorusinów, u których katolickość lub prawosławie silniejsze są od świadomości białoruskiej. Lecz ci Białorusini, w których duszy silniejsze jest świadomość narodowa od wszelkiej historycznej *sztaudy*, powinni ze wszech sił dążyć do stworzenia białoruskiej autokefalnejszej cerkwi. Powinniśmy porwać z Rzymem i z Moskwą i stworzyć swą własną narodową cerkiew. Dla nas nie jest ważnem, że nasi dziadowie i pradziadowie nosili na swych barkach moskiewskie lub rzymskie łańcuchy, dla nas jest ważnem, że my już nie chcemy ich dzwigać. Żadne jarzma i łańcuchy nie są przyrodzone tylko dzięki temu, że nosili je przodkowie. Przeciwnie dlatego, że nosili je nasi przodkowie, są one dla nas jeszcze bardziej ohydne i nienawistne. Wobec wzrostu białoruskiej świadomości narodowej absolutnie potrzebnem jest przyznanie i odczuwanie wszech białoruskiej jedności narodowej: *politycznej* [zjednoczenie wszystkich ziem białoruskich w niezależne białoruskie (krywickie) państwo, *religijnej* (utworzenie jednej białoruskiej autokefalnejszej cerkwi) *kulturalnej* (założenie szkół białoruskich od niższych do uniwersytetów i akademii) *ekonomicznej* (stworzenie białoruskiej klasy kupieckiej, przedsiębiorstw fabrycznych i banków)...

Jednak pierwsze i najbardziej dostępne pojęcie jed-

ności narodowej, poza mową narodową, osiąga się przy pomocy religii. Otóż stworzenie tej jednej dla wszystkich Białorusinów religii i powinno być zadaniem każdego Białorusina, jaki całą swą duszą służy odrodzeniu białoruskiemu. Zreformowanie prawosławia tak, by ono było odbiciem naszej przeszłości, powinno być podstawą białoruskiej auto-kefalej cerkwi“.

Hasła powyższe padły tylko z ust i pod pióra W. Łastowskiego w Kownie i w Litwie niezależnej wśród stosunkowo nielicznych tam Białorusinów. Nic nie słycać, by się przyjęły. Prawosławie w państwie litewskim czuje się niezawodnie dość silnem, mając za wodza ideowego hierarchę prawosławnego tej miary, co arcybiskup Eleuterusz. W przeciwieństwie do metodystów, nikt dotąd, nie zdaje się nie próbował uprawiać u nas propagandy za Narodową Cerkwią Białoruską. (Nie trzeba tego terminu wiązać z nazywaniem niekiedy Unji *narodowem wyznaniem* Białorusinów). To, co niedawno pisali endecy o tendencjach kościoła narodowego wśród Białorusinów tutejszych, anologicznych do istniejących w Polsce, jest typowym ich wymysłem, pozbawionym wszelkich podstaw.

Wiemy też, że próba Łastowskiego skooptowania dla swego projektu zwolenników wśród białoruskiej młodzieży akademickiej zagranicą spotkała się z należytą odprawą.

O.

Jak się szerzyła zakazana książka litewska.

Zbiorowym wysiłkiem działaczy litewskich różnej przynależności partyjnej wyszła niedawno w Kownie, pod redakcją Rusieckasa, b. ciekawa książka „Knygneszys“*), której niełatwo znajdzie się odpowiednik w piśmiennictwie innem, już choćby dlatego, że druki litewskie w ll. 1864—1904 były naogół u nas zakazane, gdy tego powiedzieć nie można np. o drukach polskich. Czytelnik polski łatwo się domysli, że *knygneszys* oznacza tego, co książki litewskie przynosił, resp. przywoził z zagranicy do Litwy i je tutaj rozpowszechniał. Redaktor książki o powyższym tytule rozłożył zebrany materiał w trzech grupach: druki w Kowieńszczyźnie, w Suwalszczyźnie i w Wileńszczyźnie. Ta kolejność odpowiada też ich ilości, zmniejszającej się od Kowna ku Wilno.

Działalność „knygneszys’ów” datuje się i wiąże z patriotyczną pracą *litewskiego Strossmajera*, b-pa Wołoczewskiego, który jako umysł nawskroś praktyczny, zabiegał nie tylko o to, by piśmiennictwo litewskie istniało, lecz też o należyte rozpowszechnienie po całym kraju książki litewskiej. Stąd się zrodziła potrzeba owych ofiarnych, zręcznych a śmiałych ludzi. I w Litwie ich nie zabrakło. Przedługim byłoby wykazać rzędy ich imion i nazwisk, wymienimy tylko najzasłużeńszych i przeto najsprawniejszych. W tej hierarchii patriarchą „knygneszys’ów” jest Jurgis Bilinis, a ojcem Valentas Urbanoviczius. W tej pracy brały często udział i ich rodziny, niekiedy też syn wstępował w ślady ojca. Za przykładem biskupa Wałoczjusza poszli inni księża, organizując tak lub owak ten niebezpieczny proceder. Dzieje wymieniamy nazwiska następujących kapłanów: księży

Kateli, Milukasa, Vitkusa, Marcinkiewicziusa, Karewicza (obecnego arcybiskupa tytularnego), Łomsargisa, Łuszpinisa i in.

Ale nie tylko Litwini rodowici, lecz i nie-Litwini („ne tiktai Lietuviai”, mówi bezstronny autor), jak na przykład książe Michał Ogiński (Polak), hr. Zubow (Rosjanin), niekiedy nawet Żydzi, sporadycznie się przyczyniali do poszerzania w Litwie druków zakazanych.

Rozumie się, że byli też roznosiciele książek nieznanymi, których nazwiska do nas nie doszły.

Zabroniona przez rząd rosyjski i prawosławny książka litewska, nie w małej mierze właśnie dzięki temu zakazowi stała się szczególnie miłą duszy Litwina. Był to bowiem owoc zakazany. Gdy polski „Złoty ołtarzyk”, najprościej wydany, kosztował wtedy zaledwie kop. 50, cena „Altorius” wynosiła całe 3 rub. Jednak nie odstraszyła ludu litewskiego ta kusząca różnica cen od kupowania litewskich książek do nabożeństwa. A że w Litwie *pobożnej* i na Żmudzi *świętej* rozchodziło się tych modlitewników najwięcej, żandarmerja i policja rosyjska szczególnie miały oko na to, z jakich książek modli się Litwin lub Litwinka w kościele. Dozór tych władz sięgał dostojnie aż po mury kościelne. Świadczy o tem ówczesna karykatura, reprodukowana w „Knygneszys”, a przedstawiająca wiejski kościół w Litwie podczas nabożeństwa i lud dla braku w niem miejsca modlący się u kruchty, a tuż na pierwszym planie modlącego się z książki Litwina, nieopodal którego stoją djabeł i żandarm, przyczem pierwszy do drugiego tak przemawia: *Brat moj! nie widisz li ty, czto etot Litowiec molitsia Bogu iz nowoj knigi! Woźmi ot niego!*. Litwin, dzięki silnej demonologii swych wierzeń, istotnie upatrywał w tej akcji rządu sprawki djabelskie.

Mórg całej tej akcji pracował w Kownie, a na peryferjach jej byli Ryga, Kretynga, Połaga, Wilno, Święciany... Pomagała w tem nawet Ameryka...

Jak się odbywała akcja „knygneszys’ów”? Pracowali w nocy i rano, pieszo i na wózkach. Co przywieźli, rychło starali się ukryć. Schówki takie były czasem we młynach, na wieżach kościelnych i kto wie gdzie jeszcze. Na ilustracjach widzimy jeden taki młyn i jedną taką wieżę kościelną. Przechowywanie pokarmu umysłowego we młynie, a dzieł oświatowych na wieży kościelnej, skąd dzwon *vivos vocat*, urasta wprost do miary symbolu.

Stupy graniczne między Rosją a Niemcami, mające ongi kształt wydłużonej piramidki z orłem carskim u szczytu, były niememi świadkami przeróżnych epizodów z życia owych przemytników oświatowych. Istotnie działały się tu nieraz sceny trochę jowialne, homeryczne. Przynajmniej takimi dziś prawie po pół wieku one się wydają. Knygneszysy żyli pod ciągłą groźbą *trewogi*. Często gęsto ciszę nocy lub poranku przerywały na granicy nagle krzyki w rodzaju: *Stoj, stoj! Nie bieżil—ubjom! Nazad!*. Bardziej rozmówny stróż porządku na granicy dodawał nieraz: *Tiepler ty mnie popałsia!*. W odpowiedzi na tę pogroźkę (łamanym najfatalniej językiem rosyjskim) knygneszys odzywał się niekiedy błagalnie: *Izwinitie, gspadin. Pożałujsta, izwinitie... Jej Bogu...* byle uniknąć tylko rewizji. Bardziej stanowczy żandarm nakazywał odrazu: *Pokażitie wieszczil!* I knygneszys szedł do więzienia, a książki litewskie—do pieca. Byli, co próbowali przemycić książki pod pozorem towaru bawełnianego lub opatrywali nawet swe paczki w napisy: *Ostozno! Kuchonnaja psuda!*

Wszędzie są ludzie i niedoludki, jak mówi bia-

*) *Knygneszys*. 1864—1904. I. Kaunas 1926. Str. 328 z ilustr.

łoruskie przysłowie, byli więc tacy i owacy też wśród żandarmów i policji, pomiędzy urzadnikami i stójkowymi. Nieraz tedy Jowisz rychło przestawał się gniewać i puszczał pojmaną ofiarę mówiąc jej wślad; *Tiepiet pojeżżaj z Bogom!* Faktycznie jednak tą drogą trafiał człowiek pod jawny nadzór policji.

Wśród „przybyszów” nie zabrakło i Litwinek. Może najczęściej werbowwały się one ze szkaplernic i dewotek. Nieznajomość wśród nich języka rosyjskiego czasem była im pomocną w tej pracy. Zatrzymawszy taką kobietę, żandarm na każde swe zapytanie otrzymywał za całą odpowiedź: *nieko niezynau!* Gdy nie doszedłszy z nią do ładu, przyprowadził był ją do swego zwierzchnika, usłyszał nieraz od niego dżentlmeńskie: *Nie trogaj babu w jeja zaniatiil.* i odchodził jak niepyszny. Bywało jeszcze gorzej, że na raport: *Wasze błahorodje muzyk chotiel pierewieżti knigi...* otrzymywał wprost połażankę: *Durak!*... „Knygnyszys” podaje podobiznę jednej grupy żandamerji, która pracowała na terenie Marjampol—Kalwarja i szczególnie musiała być czynną w ściganiu knygnyszów, skoro sporo ich i naogół działaczy litewskich odbywało karę więzienną w Marjampolu.

Dziś się dziwi człowiek, że ta głupia walka z książką litewską tak długo mogła być przetrwać, zanim rząd carski w drodze łaski nie zgodził się na *dozwoleno cenzuroju* dla druków litewskich.

Tak zwyciężył druk litewski tych, co mu wrócili krótki a marny żywot, nazywając *chamskim żargonem*, a całą pracę litewską — stawianiem zamków na lodzie...

Ma ukazać się II tom „Knygnyszys”.

Okładkę malował art. mal. p. Jomantas. Przedstawia ona kupę płonących u stóp słupa granicznego litewskich pism i książeczek. Chwiejący się orzeł na słupie przedstawia nadwyreżoną już w. r 1904 moc caratu. Miła, ciekawa książka!

Gardiner.

Magistrat wileński a lichwa mieszkaniowa.

Pod tym tytułem „Kolce” warszawskie zamieszczają korespondencję z Wilna, rzucającą nieco światła na działalność wileńskiego Komitetu Rozbudowy i aktualną stale kwestję mieszkaniową wogóle.

Wojna światowa zatamowała już na 12 lat ruch budowlany w miastach i zniszczyła wiele domów i mieszkań, a jednocześnie, zrujnowawszy wiele wsi i dworów spowodowała bardzo znaczny przyływ do miast ludności wiejskiej.

Wzrost popytu na mieszkania i zmniejszanie się ich podaży wytworzyły podatne podłoże dla wyzysku ludności. Ustawa o ochronie lokatorów, która stawia pewne granice apetytom kamieniczników i zabezpiecza masom lokatorów dach nad głową, jest koniecznym środkiem obrony egzystencji szerokich mas ludności miejskiej przeciwko egoizmowi klasowemu nielicznej uprzywilejowanej grupy właścicieli nieruchomości miejskich.

Jednakże ustawa o ochronie lokatorów jest tylko paljatywem; radykalnie polepszyć sytuację mogłoby naturalnie tylko wznowienie ruchu budowlanego. Jednym ze środków, które powinny zachęcać przedsiębiorców do używania swych kapitałów na budowę nowych domów mieszkalnych w miastach

jest całkowite wyjęcie nowozbudowanych domów z pod działania ustawy o ochronie lokatorów. Swoboda właściciela takiej nowej nieruchomości w wyznaczaniu cen za mieszkania jest w tym wypadku zupełnie usprawiedliwiona jego przyczynieniem się do zaspokojenia głodu mieszkaniowego drogą budowania nowych lokali mieszkalnych na własne środki.

Inaczej zgoła ma się sprawa w tym wypadku, gdy przedsiębiorca buduje nowy dom nie za własne pieniądze, lecz za pożyczkę, otrzymaną za pośrednictwem Komitetu Rozbudowy, czyli za pieniądze, zebrane od szerokich mas lokatorów—płatników państwowego podatku lokalowego. W tym wypadku pozostawienie przedsiębiorcy zupełnej swobody w dyktowaniu lokatorom cen za używanie lokali, wybudowanych za ich własne pieniądze, byłoby oczywistą niesprawiedliwością i oczywistym nonsensem. To też regulamin dla komitetów rozbudowy przewiduje, że „jeżeli kredyt, o który ubiega się budujący, ma być przeznaczony na budowę domu dochodowego, to konieczne jest, aby budujący przedstawił sposób określenia przyszłego komornego”.

Lecz gdzieżby Magistrat i jego Komitet Rozbudowy odważyły się wyrządzić taką przykrość panom kamienicznikom i żądać od nich przedstawienia cen przyszłego komornego? Przecie, gdyby komukolwiek z nich i strzeliło do głowy takie obliczenie zrobić i Komitetowi Rozbudowy przedstawić, Komitet nie byłby w stanie określić, czy przedstawione ceny są wygórowane, czy nie, gdyż nie ma nawet u siebie żadnych wypracowanych norm dopuszczalnego komornego.

To też dochodzą nas wieści, że w nielicznych domach, budujących się za pieniądze, pochodzące z pożyczek Komitetu Rozbudowy, właściciele żądają komornego o wprost horendalnej wysokości. Już obecnie w jednym z takich domów, który właśnie jest na ukończeniu, żąda właściciel za skromniutkie mieszkanie z trzech pokoi dwa tysiące złotych rocznie. W ten sposób podatek, zbierany od lokatorów dla ulżenia kryzysu mieszkaniowego, wskutek pewnych klasowych sympatyj organów samorządowych staje się środkiem ucisku tych samych lokatorów, umożliwiającym ulegalizowane uprawianie lichwy mieszkaniowej.

W dziennikach wileńskich czytaliśmy, że na zapytanie Województwa o wynikach dotychczasowej akcji Komitetu Rozbudowy m. Wilna, ten ostatni nie mógł udzielić odpowiedzi co do wysokości komornego w domach, budujących się za udzielone przez pożyczki, usprawiedliwiając się tem, że ani jedna budowa nie została jeszcze ukończona. Otóż chętnie służymy Komitetowi powyższymi informacjami, a zarazem zwracamy jego uwagę na to, iż wysokość komornego w domach, na których budowę Komitet przyznaje pożyczki, nie jest czynnikiem niezależnym od Komitetu, który wyjaśnia się dopiero po ukończeniu budowy. Dziwne jest doprawdy, iż Komitetowi, który już w ciągu roku z górą istnieje i udziela pożyczki, nie jest wiadome, że wysokość komornego powinna być określona przez ubiegającego się o pożyczkę już przed rozpoczęciem starań o jej otrzymanie i powinna decydować o jej przyznaniu lub nieprzyznaniu, t. j. o budowaniu lub niebudowaniu domu przez petenta.

Komitet Rozbudowy nie mógł także wyjaśnić władzom wojewódzkim, w jaki sposób dokonywany jest podział kredytów pomiędzy instytucje społeczne i stowarzyszenia spółdzielcze, a osoby prywatne. Dzi-

wi to nas niezmiernie, gdyż odpowiedź na to pytanie powinna wypaść bardzo prosto: wszystko otrzymują osoby prywatne i nic — instytucje społeczne i spółdzielcze. Żadne bowiem instytucje społeczne lub spółdzielcze, któreby się zajmowały budową domów mieszkalnych w Wilnie, nie istnieją.*)

W ten sposób polityka Komitetu Rozbudowy i Magistratu marnuje zbierane od ludności na cele zwalczania kryzysu mieszkaniowego pieniądze, używając je wbrew interesom ludności i sprowadza całą akcję w tej dziedzinie do intratnego interesu dla kilku przedsiębiorczych jednostek.

Zmarnowany talent.

Wielekroć szły z Litwy w ziemie polskie promienie talentów poetyckich i literackich, a piewcy piękności ziemi naszej uczyli ją kochać, znać i rozumieć. Zabrakło tych ludzi, zabrakło bystrych umysłów, natchnionych głów i miłujących serc, wierszem lub prozą utrwalających krajobraz i mieszkańców ziem „szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętych” Czasami zaledwie głos jakiś „nowelkowy” się ozwie. A przecież tyle wielkich, potężnych wstrząśnień potargało ten kraj wielojęzyczny wielu uczuciami, których zaziębione konflikty stanowiłyby powinny dla powieściopisarza ponętny temat.

Jednym z ostatnich utworów, poruszających przedwojenny problem nowej Litwy jest powieść Weysenhoffa *Unja*. Piszemy o niej z powodu wydania książki tegoż autora pod tytułem: *Mój pamiętnik literacki*, gdzie autor otwiera przed czytelnikiem tajniki swej twórczości i niejako wprowadza go do kuchni preparatów pisarskich.

Niestety, w książce tej ani poznać dowcipnego, subtelnego ironisty z dawnych powieści (*Żywoć i myśli Podfilipskiego*, *Syn marnotrawny*, *Sprawa Dołęgi i t. p.*), smutne jakieś, nudne i pretensjonalne są te wspomnienia, acz rzetelnie i sumiennie spowiadające się z grzechów i cnót pisarskich. Nie wchodząc w szczegółowy ich rozbiór, gdyż interesuje nas głównie stosunek do tutejszych spraw, ludzi i ziem, zaznaczyć należy, iż p. Weysenhoff z niepojętą jak u tak subtelnego człowieka naiwnością, dziwi się, iż krytyka zaczęła mniej przychylnie się doń odnosić po ukazaniu się *Hetmanów* i przypisuje to intrydze żydowskiej! Z jednej strony wiadomo jak ściślemi więzami rodzinnymi był autor poczytnych powieści związany właśnie ze znienawidzonym plemieniem, z którego córkę — kobietę piękną i rozumną miał za żonę. Z innej strony czytelnicy przeważnie osądzili *Hetmanów* jako ciężkie nudziarstwo z powodu różnych wzniosłych i fantastycznych teoryj na temat stosunków politycznych i społecznych, w traktowaniu których okazał się Weysenhoff, prześwietnie opisujący życie arystokracji i dworów wiejskich, ciężkim i nudnym moralistą. Dość przeczytać *Gromadę* — wzorowym stylem pisane wypracowanie na temat „wiwat szlachta, polski lud”. Straszliwe też nudziarstwo — niedowcipny pamflet *Cudno i ziemia cudeńska* i rozwlekłe, beznadziejną apatią zrujnowanego materialnie i moralnie człowieka tchnące *Świt, dzień i noc*, wojenne wspomnienia p. Weysenhoffa.

Subtelny, jedyny, wytworny talent salonowca ironisty, pióro maczane w szampanie i likierze albo

*) O ile wiemy, tego rodzaju stowarzyszenia istnieją w społeczeństwie żydowskim. (Przyp. Red.)

w pradziadowskiej starce litewskiej, niestety, wszystko to utonęło w mętnej, teoretycznej, narzuconej jakby frazeologii, zapożyczonych z popularnej prasy bogoojczyźnianej.

Ale wróćmy do powieści litewskich.

Sam autor przyznaje, że pisać na temat Litwy chciał zawsze i ciągle, że znikąd nie wyniósł tyle materiału twórczego i tyle porywu do tworzenia, co z poetycznej okolicy litewskiej, kędy leży jego rodzinne gniazdo Jużynty, dziś opuszczone. Tam „mieszkały zdrowie, spokój, przyjazna z ludźmi zażyłość, a przez powietrze i serce wiało szczęście”. W roku 1908 autor odczuł „boleśnie dreszcze propagandy podjętej przez paruset obłąkanych Litwinów, między którymi rej wodzili pogańscy iście książa!”. Na takim podłożu myślowym zasiadł Weysenhoff do pisania *Unji*, chcąc jeszcze coś „wyperswadować zapienionym Neo-Litwinom i ostrzec litewskich Polaków”. Biada dalej, że książka nie mogła mieć wpływu na propagandę antypolską.

Dziwne to jakieś.. niedopatrzenie. Jakże by mogło się stać inaczej? Powieść szablonowa pod względem romansowego konfliktu, banalna pod względem intrygi, obfitująca w typy i sylwetki, w czym autor celował zawsze pierwszorzędnie, problem litewsko-polski porusza natomiast bardzo płytko i powierzchownie, a słowa zacytowane powyżej, świadczą jak go nie rozumiał. Nawet *Szary Proch* Rodziewiczówny, z całym fałszywym sentymentalizmem, rzecz ujął prawdziwiej i głębiej.

Ruchu odrodzeniowego narodu litewskiego, ruchu idącego z ludu, potężnego parcia tego prądu w masy włościańskie, nie poruszył Weysenhoff wcale, znając lud z wycieczek „panicza ze dworu”. Tragicznej walki między odwiecznym wpływem kultury polskiej, szlacheckiej, „pańskiej”, a nowym demokratycznym prądem litewskim, nie podkreślił nigdzie mocnymi słowami. A przecie to sprawa ociekająca łzami i żółcią, nieomal krwią zlaną i wtedy już wzbierająca bólem. Szarpań się i zmagaj synów tej ziemi, którą kochają jako swoją ojczyznę, nie zrywając zarazem z kulturą polską, nie badał i nie przejmował się ich losem. Najbardziej może zatrzymał się nad rosyjskim wpływem na Litwinów, uważając wedle udzielonych mu w Wilnie informacji, że w tem jest źródło i powód stanowiska Litwinów względem Polaków i nawet całego ich programu na przyszłość.

Jak nie zrozumiał owego obudzenia się ruchu narodowego litewskiego, żywiołowego, bezwzględniego, w samoobronie depczącego wiele dotychczasowych fetyszów i prawdziwych świętości nawet, ale godnego szacunku za swą żelazną konsekwencję i wytrwałość, tak też programu krajowego nie pojął i nie „wyklarował”, typowy w tym wypadku korniarz na Litwie. Powieść została martwa i bez echa.

Nierównie lepiej udały mu się bezpretensjonalne wspomnienia z lat młodości, polowań i flirtów studenckich w Jużyntach i w okolicach. *Soból i Panna* tchną świeżością, prawdą i tem wszystkiem, o czem autor pisze, że mu Litwa dawała jak matka ukochanemu i kochającemu dziecku. *Puszcza*, wzięta z rozlogów Białorusi, gorzej się udała, bo jakiś nałóg moralu i tu całe kazanie umieścić: wybawienie i nawracanie grzesznika przez czystą panienkę ze dworu. Okupuje nudę tego cnotliwego romansu kilka postaci miejscowych jak Moroz, Szlaha, Halimon i ich dowcipy.

Takie jakie są, pozostaną jednak owe trzy powieści Weysenhoffa niekompletnym może, niedocią-

gnięty, ale wiernym, malowniczym i artystycznym obrazem przedwojennego życia dworów litewskich.

Jakaż wielka szkoda, że autor nie poprzestał na tem, lecz sięgnął w tak obcą dla siebie dziedzinę stosunków społeczno-politycznych, w której obraca się z nonszalancją światowca, przyzwyczajonego do konwersacji na każdy temat, chociażby całkiem niedostępny dla swego umysłu...

Scipio.

Z mego notatnika.

W odpowiedzi „Słowu“.

Polemizując z moją uwagą, że syndykat dziennikarzy w Wilnie, jako organizacja zawodowa nie powinien stać na gruncie wyłączności narodowościowej, „Słowo” zapewnia, że to się nigdzie nie praktykuje i że wszędzie dziennikarze grupują się według przynależności narodowej.

Wbrew kategorycznemu twierdzeniu „Słowa” utrzymują, że w miastach na zachodzie z ludnością różnojęzyczną prasa posiada wspólną reprezentację, a nie chcąc być gołosłownym powołać się mogą na świadectwo p. Czesława Jankowskiego, który opisując w temże „Słowie” latem b. r. swe wrażenia z wycieczki do Rumunii wspomina o syndykacie dziennikarskim w Czerniowcach, którego prezesem jest Rumun, a wice-prezesem Niemiec. I jest to zupełnie naturalne. Tylko w społeczeństwach o niskim poziomie kulturalnym różnice językowe stanowią nieprzebytą zaporę w stosunkach wzajemnych między ludźmi, nawet mającymi wspólne interesy zawodowe.

Przy tej sposobności „Słowo” mimochodem czyni uwagę,—nie wiedząc na jakiej podstawie,—że „Przegląd Wil.” nie lubi polemiki. Zdaje się, że „Słowo” ma dość mętne wyobrażenie o tem, co stanowi istotę polemiki. Jak dotychczas, nie spotkaliśmy się ani razu w prasie wileńskiej z gotowością do podjęcia rzeczowej dyskusji. Zastępują ją prokuratorskie tyrady albo wycieczki osobiste albo nawet zwykłe insynuacje. Do tego rodzaju sportu dziennikarskiego istotnie nie mamy pociągu.

Studenci kowieńscy i wileńscy.

Jednym z najsmutniejszych objawów powojennych jest zanik zupełnej ideowości wśród młodzieży. Młodzież dziś stanowi najbardziej reakcyjny element w społeczeństwie, a uniwersytety, skąd się dawniej rozlegały hasła postępu, wolności tolerancji, obecnie zamieniły się w twierdze szowinizmu i obskurantyzmu. Antysemickie wiece studentów wileńskich albo antypolskie demonstracje studentów kowieńskich świadczą o głębokim upadku moralnym młodzieży i uleganiu jej najniższemu instynktom.

Na tle tego przerażającego zdziczenia niezwykle radosnym i pocieszającym zjawiskiem jest zdrowy odruch postępowej młodzieży litewskiej, która wystąpiła w Kownie z energicznym protestem przeciwko zachowaniu się swych kolegów, biorących udział w głośnej demonstracji ulicznej w dn. 21 listopada. A więc nie cały ogół akademicki w Kownie jest zarażony skrajnym szowinizmem i pozostaje pod wpływem ciemnego wstecznicstwa. Kto wie, może tylko mniejszość? Wiec studentów postępowych podobno był niezwykle tłumny, co jest dowodem popularności wśród młodzieży uniwersyteckiej w Kownie tych haseł, w imię których był on zwołany.

Tem większy wstyd dla Wilna, gdzie o podobnych protestach przeciwko reakcyjnym uchwałom, wieców akademickich nic nie słyhać i gdzie organizacje postępowe nie dają znaku życia o sobie!

Znamienny szczegół.

Wystąpienie na arenę polityczną p. Romana Dmowskiego po kilkoletniej bezczynności i utworzenie przezeń „Obozu Wielkiej Polski” wywołało ogromną sensację i prasa polska poświęca temu wypadkowi wiele miejsca i uwagi. Ktoś uczynił dowcipne spostrzeżenie, że odtąd Polska podzieli się na dwa obozy (jeżeli nie brać pod uwagę komunistów), P. O. W. i O. W. P. czyli peowiaków i owepiaków. Który porządek liter okaże się silniejszy—pokaże to przyszłość.

W organizacji Obozu Wielkiej Polski, skopjowanej wiernie ze wzorów faszystowskich uderza wszakże pewien szczegół znamienny, na który dotąd jakoś nikt nie zwrócił uwagi. Oto przy wyznaczaniu t. zw. oboźnych dzielnicowych uwzględnione zostały Warszawa, Poznań, Kraków, Lwów i. . Lublin, natomiast pominięte zostało całkiem Wilno! Wprawdzie korespondent „Dziennika Wileńskiego” w parę dni potem doniósł telegraficznie, że nieobradzenie Wilna nastąpiło skutkiem braku odpowiedniego kandydata i że to nastąpi później, ale zdaje się jest to tylko dyplomatyczny manewr, wywołany zrozumiałem zaniepokojeniem wileńskich endeków. Bo przecież w enuncjacji programowej wyraźnie powiedziano, że Lublin ma być siedzibą dzielnicy Ziemi Wschodnich, a skoro Wołyń przydzielono do Lwowa, to jakież „Ziemie Wschodnie” będzie obsługiwał Lublin, gdyby i Wilno miało swego oboźnego dzielnicowego? Chyba tylko błota pińskie?

Nie, pominięcie Wilna nie było przypadkowe i przesunięcie ośrodka „Ziem Wschodnich” bardziej na zachód, w granice Polski etnograficznej jest niezmiernie symptomatyczne. Może to spowoduje emigrację z Wilna do Lublina p.p. Obsta, Kodzia i Kownackiego?

Licz.

Przegląd prasy żydowskiej

Sprawa trupów żydowskich dla prosektorjum, tak mało znajdująca zrozumienia w sferach uniwersyteckich wymaga oświetlenia z tej strony, która jest w niej bezpośrednio zainteresowana, ze strony żydowskiej.

Z całym zaś naciskiem należy podkreślić, że w tej kwestji jak i wielu innych opinja żydowska bynajmniej nie jest jednolita. Odrębny pogląd reprezentują sfery religijne, które, jak czytamy w ortodoksyjnym „Dos Wort”, powołują się na to, że wyraźnie brzmiące prawo żydowskie uważa zmarłego bezdomnego za krewnego wszystkich Żydów. To religijne prawo żydowskie nie pozwala ortodoksom tolerować przekazywania do prosektorjum zwłok nawet zmarłych, nie mających krewnych w ścisłym tego słowa znaczeniu; w dążeniu do zastosowania się do tego prawa tworzą nabożni Żydzi bractwa religijne oddające ostatnią posługę zmarłemu, bądź w ten sposób, że odszukują jego faktycznych krewnych, bądź same w zastępstwie rodziny zajmują się wykonaniem całego ceremonjału pogrzebowego.

Ortodoksja w sprawie trupów wygrywa ponadto momenty społeczne. W odpowiedzi d-rowi Szabadowi, który w „Wilner Togu” (Nr. 259) kategorycznie wystąpił za oddawaniem trupów żydowskich do prosektorjum dla celów naukowych, pisze „Dos Wort”:

„dlaczego spełnienie tych zadań idealnych ma spaść na barki bezdomnych nędzarzy, którzy są tak przez wszystkich opuszczeni, że szpital nie wie o ich krewnych?”

Jak więc widzimy ortodoksja używa w obronie swego stanowiska nie tylko argumentów religijnych, lecz i świeckich, często demagogicznych, które znajdują swój oddźwięk w masach. Jak czytamy w gazecie „Cajt” (Nr. 272), w jednej z większych bóżnic wystąpiono z gwałtownymi przemówieniami przeciwko d-rowi Wirszubskiemu, naczelnemu lekarzowi szpitala żydowskiego, który nie bacząc na ciągłe napomnienia rabinatu i stowarzyszeń religijnych odsyła trupy bezdomnych żydów do prosektorjum i w przemówieniach tych podkreślono ten fakt, że „do prosektorjum oddawane są właśnie tylko trupy biedaków”.

Takie jest stanowisko ortodoksji, ale poza ortodoksją, całe społeczeństwo żydowskie jest innego zdania w tej sprawie i na zebraniach medyków - studentów żydowskich zapadają uchwały przeciw ortodoksji. Lekarze żydowscy również ogłosili w prasie żydowskiej i polskiej rezolucje solidaryzujące się z powyższym stanowiskiem.

Czyż wobec tego nie jest oburzające to, że władze uniwersyteckie idąc po linii najmniejszego oporu, poszły za głosem reakcji, i — odebrały żydowskiemu studentom faktyczną możliwość pracy w prosektorjum?

A sprawę tę można było przecież zupełnie w innej płaszczyźnie załatwić! W stosunku do studenta-medyka trup jest pomocą naukową, taką samą, jak odczynniki chemiczne, czy przyrządy fizyczne, a dostarczanie studentowi pomocy naukowych jest obowiązkiem władz uniwersyteckich.

Czy władze uniwersyteckie doprawdy nie mogły znaleźć właściwszej i mniej kompromitującej drogi dla zaradzenia brakowi trupów dla prosektorjum?

Ego.

Bibliografia.

Czesław Jankowski. *Z czeczotkowej szkatułki*. Odgłosy ginącego świata. Wilno. Nakład i druk M. Latoura 1926.

Jeśli po wsze czasy miały dużą wartość wspomnienia osobiste o ludziach wybitnych, o stosunkach towarzyskich i społecznych, to tem bardziej dzisiaj cenić należy wszystko, co nam daje istotny, prawdziwy i barwny obraz czasów przedwojennych, nie tak odległych ilością lat, jak całokształtem życia.

Jak mówi stara piosenka „zmieniła się postać świata, zmienił się porządku szyk”. Bezmiernia przepaść dzieli nas od czasów niedawnych niewoli, kwietyzmu, dosytu, płytkiego i miłego nic nierobienia, łatwych obowiązków i zarobków, beztroskiej nieodpowiedzialności i konieczności egoistycznego zamykania życia w ciasnym kółku rodziny, a co najwyżej spraw społecznych.

Dziś naród polski reprezentują przed światem przede wszystkim politycy. Ongiś czyniły to tylko utalentowane jednostki, ratując honor niewolnego narodu rozgłosem w literaturze, sztuce czy nauce.

Utrwalić w pamięci ludzkiej charakterystyczne rysy tych ludzi, cechy minionej, prawie bez reszty, epoki, dać sylwetki i obrazy, warte wspomnienia i pamięci, oto zadanie wdzięczne.

Lekkiem i lotnem piórem spełnił je p. Czesław Jankowski, i dobrą myśl miał p. Latour, że właśnie w czas jubileuszu świetnego feljetonisty, ten feljeton jego życia wydał. Szata książeczki wytworna i stylowa, jak postać autora. Rozkochany w tem, co trzeba z francuska nazwać *socjeta*, nie najlepiej się czuje pan Czesław w dzisiejszym zbiorowisku dorabiających się wszystkiego ludzi. Woli sięgać w przeszłość. Tam obraca się swobodnie i wesolo, z wiecznym dowcipem, z gęsto przypiętą szpileczką (ozdobioną kwiatkiem czy kokardką), z trafną charakterystyką dobrych znajomych, traktowanych często dickensowskim stylem (patrz salon Deotymy).

Wśląd za wzorami francuskimi, któremi prześlą, jak całe ówczesne pokolenie, p. Jankowski, wydobywa ze swej szkatułki graciki i swistki, niby nic, niby papierki bez wartości, a nasycone wspomnieniami, jak zapachem zwiędłych czy zasuszonych kwiatów. Obrazy układają się same pod piórem. Bo wszak wystarcza autorowi zamyślić się nad swem barwnem, w liczne miłe chwile ozdobionem życiem, by mu się jawili dobrzy znajomi, z którymi wiek przeżył, przegawędził i przedowcipkował.

Chronologicznym porządkiem utrwała autor znajomość swoją z Odyńcem, Bohdanem Zaleskim u Mickiewiczów w historycznym dla polonji paryskiej mieszkanku na rue Guénégaud, z Mironem i Tadeuszem Czapelskim, który dał Kurjerowi Warszawskiemu panowanie nad Warszawą w latach 1882 — 85, jest i o Wołodym Skibie (Sabowskim) i o Asnyku i Konopnickiej. I fotografie tych ludzi, nieznanne, osobiście autorowi ofiarowane, i anegdota o nich. Dłuższe wspomnienie poświęcone Deotymie, której *salon* niepozawiony patosu, ale i szczytnej szlachetności opisany jest z niezrównanym umiarem satyry, jak również epizod wieńczenia czerwonym dębem Zybliekiewicza, marszałka Galicji, przez też Deotymę w Sukiennicach Krakowskich na balu, po którą to flancę, kurjerem do Wiednia latać musiał młody poeta Czesław Jankowski. O Kraszewskim też dłuższe wspomnienie, o jego bolesnych przejściach przedgonnych, o Bartelsie na tle życia ziemiaństwa polskiego Litwy, Inflant i Kurlandji w Rydze, kiedy to kwitły Arkonja i Polonja, znów rzucony obrazek jakże żywy i barwny! Szybko przerzuca kartki i wspomnienia autor: tu Kwapila, tu Miena krakowskiego, tam Prusa i Spasowicza liściki i dedykacje wspomni. I o Orzeszkowej nie zapomni, ani o wykrętach przed cenzurą rosyjską przy wystawieniu w Wilnie Wesela, aż wreszcie na poetyckim urywa akordzie. Na opisanie zamiany wierszy z Belmontem genjalnym tłumaczem Oniegina.

Nie dobrze kończy swą książkę Cz. Jankowski, zapewniając, iż na zawsze w głąb szkatułki zsuwa pasmo feljetonu swego życia. Leży przed nim zadanie scharakteryzowania innego oblicza zaginionego świata: ziemiaństwa doby, którą z niem przeżył i stosunków w Litwie między tem ziemiaństwem, a rządem rosyjskim. Temat nie opracowany dotąd w tej formie, jakaby mógł mu nadać tak świetny publicysta, polityk w wolnych chwilach a zawsze wytworzył nowelista: p. Cz. Jankowski.

Czekamy. Jeszcze nie ujrzelismy dna mebelka z czeczotki. Jeszcze tam nie jedno się znajdzie.

H. R.

Karo archyvas I 1925 r. Kaunas, str 268.

„Karo archyvas” (Wojenne archiwum) ma na celu, jak o tem mówi słowo od redakcji, zamieszczać studia historyczne, materiały, przyczynki i dokumenty związane z wojskowością w Litwie.

Tom pierwszy pod red. majora V. Steponajtisa wróży, że rozpoczęta praca będzie stale się rozrastała, walnie przyczyniając się do ogólnych badań nad dziejami Litwy.

Wśród całego szeregu przyczynków, dotyczących się obecnych pułków litewskich, w tomie pierwszym spotykamy „Pierwszą wojnę ze Szwecją i bitwę pod Kircholmem” star. leit. Balczuikonisa; „Litwini na Syberji” kap. Linkiewiczusa; „Wspomnienia z prac w Kowień. Komendanturze Wojennej z 1919 r.” star. leit. Gużasa. W wspomnieniach tych spotykamy kilka nazwisk Polaków, którzy obecnie są w Wilnie, a wówczas byli czynnymi peowiakami w Kownie. „Drukowane i niedrukowane pisma powstańcze z r. 1863—64”. A. Janulaitisa są to pieśni litewskie, białoruskie i odezwy komitetów powstańczych po litewsku, polsku i białorusku. Całość tomu przedstawia się dodatnio i może zainteresować nie tylko badaczy wojskowych, ale i historyków wogóle.

W. Sak.

1. *Hałounyja asnowy metodyzmu*. Wilnia 1925. Str. 16.

Służba Boża (Dla białoruskich zborau i sabrańniau). Wilnia str nlb. 4.

1. W charakterze informatorów ogółu, zamieściliśmy latem r. b. w „Prz. Wil.” artykułik: *Propaganda metodyzmu*. Dziś notujemy dwa wydawnictwa metodystyczne, małe swą objętością, lecz dość ważne treścią. Istnieje w Wilnie „Wydawiecki Kamitet”, który zaopatruje swoich i nieswoich w literaturę metodystyczną. Prezes tej instytucji w słowie wstępnym do swego katechizmu tak pisze: „Pierwsza część tego utworu (!): Budowa i Nauka Południowej Episkopalnej Cerkwi Metodystów, zawiera statut i podstawową jej naukę, jak również szkic powstania metodystów”. Z czasem ma być wydany ciąg dalszy tego utworu. Ów prezes najpewniej sam białoruski metodysta, zakańcza swój wstęp słowami: „To jest pierwsze wydanie wzmiankowanej pracy w mowie białoruskiej. Możliwe są w niem pewne nieściśności”. Książeczka sprawnia wrażenie jakby była streszczeniem większej całości katechizmowej. Wykład związły. Omyłek w druku sporo.

2. Dla białoruskich zbiorów i zebrań *Cerkwa Metodystau u Polszczy* na generalnej konferencji postanowiła wydać porządek i program nabożeństwa metodystycznego. Ma się ono składać oprócz z zaprosin z następujących, kolejno po sobie idących części: wstępu (muzyka), hymnu apostołskiego wyznania wiary, modlitwy ogólnej i Pańskiej, znowu muzyki duchownej, psalmu XXIII, czytania ustępu z ewangelji św., powiadomienia i ofiary, znowu hymnu, doksologji i błogosławieństwa apostołskiego. Dalej podane są drukiem ważniejsze modlitwy metodystów, nuty do doksologji, błogosławieństwo i wreszcie psalm XXIX. Umyślnie przytoczyliśmy powyższe, by mieć pojęcie, jak się odbywa w zborach metodystycznych ich nabożeństwo.

x

Minister Czepiński o oświacie polskiej w Litwie.

W rozmowie ze współpracownikiem „Lietuva” litewski minister oświaty Czepiński tak się wyraził w kwestji szkolnictwa polskiego:

„Co się tyczy polonizacji Litwy, jak mi to niektórzy zarzucają, przedstawia się ona w ten sposób. Przy obejmowaniu ministerstwa przezemnie istniały 24 szkoły polskie (49 kompletów), utrzymywane przez państwo i dwie polskie szkoły prywatne. Ja pozwoliłem na otwarcie 57 szkół polskich (79 kompletów) z tym warunkiem, że będą one utrzymywane przez samych Polaków. Nie będą więc te szkoły obciążać materialnie ludność litewską, gdyż w dalszym ciągu będzie na szkoły polskie asygnowany ten sam odsetek z sum budżetowych min. oświaty.

Pozwalając zakładać szkoły polskie nie przekroczyłem ustawy. Konstytucja gwarantuje Polakom, jak innym mniej szościom prawo zakładania szkół narodowych i przekazywać temu nie można.

Przeciwnicy moi wskazują, że w Wileńszczyźnie są przesładowane szkoły litewskie, lecz, że polityka polska w Wileńszczyźnie nie jest poprawna i tolerancyjna, to jeszcze nie dowód, że i polityka litewska powinna kroczyć tą samą drogą. Mnie, jako Litwinowi, zawsze było przyjemnie, gdy przedstawiciele innych narodów podkreślali ludzkość i tolerancję Litwinów i dlatego nie chcę popełniać czynów, któreby dały powody do twierdzenia, że Litwini są narodem barbarzyńskim i niekulturalnym.

Prawda, że większość nauczycieli, mianowanych do nowo założonych szkół polskich, nie posiada kwalifikacji, lecz wiedząc, że w szkołach żydowskich jest duży procent nauczycieli również bez kwalifikacji, nie mogłem względem Polaków stawiać wymagań surowszych i dlatego zgodziłem się do pewnego czasu zatwierdzać nauczycieli Polaków bez należytych kwalifikacji. Zresztą i w szkołach litewskich spory procent nauczycieli nie posiada wymaganych kwalifikacji”.

Sprostowanie.

W Nr. 20, w art. „Konkurs na pomnik Ad. Mickiewicza w Wilnie”, w wierszu 18 od góry czytać należy „na Judahu skale”.

W art. „Mniej przesady, więcej umiarkowania”, w wierszu 12 od góry powinno być „nie jest zgodne z prawdą”.

Książki nadesłane do Redakcji.

Zasztowt-Sukiennicka Helena. Docteur en Droit. *Fédéralisme en Europe Orientale. Etude sur le Mouvement Fédéraliste et sur le Constitution Soviétique.* Paris. Les Presses Universitaires de France. 1926. Str. 273.

Tyszkowski Kazimierz. *Informacyjna bibliografja historii polskiej za rok 1925.* Lwów—Warszawa—Kraków Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1926. Str 51.

Czosnowski Stanisław. *Unja międzyparlamentarna.* Jej powstanie, organizacja i działalność. Wilno Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego. 1926.

Treść numeru: Postęp. — O. „Białoruskaja Autokefalnaja Cerkwa”. — Gardiner. Jak się szerzyła zakazana książka litewska. — Magistrat wileński a lichwa mieszkaniowa. — Scipio. Zmarnowany talent. — Licz. Z mego notatnika. — Ego. Przegląd prasy żydowskiej. — Bibliografja. — Min. Czepiński o oświacie polskiej.